

Dąbrowski, Henryk

Rozogi we wspomnieniach nauczyciela

Zeszyty Naukowe Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego 11, 177-188

1997

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WSPOMNIENIA, PAMIĘTNIKI

HENRYK DĄBROWSKI

ROZOGI WE WSPOMNIENIACH NAUCZYCIELA

Miejscowość Rozogi po raz pierwszy w życiu zobaczyłem na własne oczy wiosną 1949 roku w czasie ferii wielkanocnych jako uczeń klasy siódmej Szkoły Podstawowej w Łysych i jako mieszkaniec pierwszej na Kurpiach wsi kościelnej Lipniki. Dojechałem rowerem 15 kilometrów do Myszynca i tu wsiadłem w autobus z drewnianą kabiną i jednym okienkiem z przodu. Jechałem do miejscowości Nawiady w powiecie Mrągowo bo tam mieszkała i pracowała moja starsza siostra Genia, która po ukończeniu szkoły podstawowej w Łysych, praktyce na poczcie i zdaniu egzaminów zastępowała naczelnika poczty. Jadąc przez jedno okienko wiele widziałem ale od razu rzuciła mi się w oczy czerwień dachówek, czerwień murowanych domów. Kiedy autobus wjechał do Rozóg, podobnie jak w Myszyncu strasznie zatrzęsło po kamienistym bruku. Myślałem, że ta trzęsąca buda samochodu zaraz się rozleci, rozpadnie. Na szczęście autobus się zatrzymał, przesiadka. Przez moment popatrzyłem na wieś, znów czerwień dachówek przewaga domów murowanych, gdzieś tam drewniane, przygarbione chałupinki takie same jak w mojej rodzinnej wsi Dąbrówce, Lipnikach, Myszyncu, czy Czarnej. Z lewej jednowieżowy kościół, też dla mnie nowość bo znałem tylko dwuwieżowe, z prawej znów kilka domów, nawet piętrowy, reszta gruzy, gruzy, gruzy. Musiała tu być wojna, walka — pomyślałem wtedy. Ostry skręt w prawo, mostek, rzeczka, znów czerwień dachówek. Patrząc na nie poczułem jakieś wewnętrzne zadowolenie, że ludzie tu mieszkający nie muszą aż tak się strasznie być pożarów. Uczucie takie pozostało we mnie z czasów dzieciństwa, kiedy z drewnianych, krytych słomą wiejskich domów np. u pana Franciszka Twórkowskiego, Stanisława Mąki w Dąbrówce w czasie pożaru pozostawało kilka zwęglonych, czarnych belek, sterczący osmalony komin, płacz dzieci, zawođenje matki, przejęty, blady jak płótno gospodarz. Przejeżdżając dalej przez Rozogi zauważyłem dużo drzew, zieleni, lasów świerkowych. Podobała mi się ta ziemia, szczególnie wiatrak stoją-

cy na wzgórzu. Będąc w Nawiadach siostra powiedziała mi, że niedługo przeniosą ją do Rozóg na dalsze zastępstwa. Tak też się stało w następnym roku.

Od tego momentu jako uczeń Liceum Pedagogicznego w Ostrołęce często tu przyjeżdżałem w czasie ferii i wakacji, bo naczelnik pan Ślaza po urlopie przeniósł się na stałe do Pasymia, a siostra została naczelniczką poczty. Przebywając tu poznawałem bliżej tę miejscowość. Siostra wyszła za męża za miejscowego szewca Antoniego Berkowskiego spod Ostrołęki i przeniósła się do swojego domu na Starych Rozogach. Odnalazłem kolegę z lat dzieciennych i chłopięcych Janka Klimaszewskiego, zwoziliśmy snopy do stodoły, jedliśmy razowy chleb popijany świeżym mlekiem podanym przez jego matkę. Zapoznawałem innych kolegów w tym Mazurów, Mazurzaków jak to się wtedy mówiło np. mojego rówieśnika mieszkającego po drugiej stronie drogi Ginta Sawickiego, absolwenta siódmej klasy w Rozogach. Zapoznałem i starszych gospodarzy rolników, Mazurów pana Otto Szewca i jego żonę Minę głoszącą po polsku: „*jek Polak Polakiem nie buł Niemiec bratem*”. Innego zdania był jej mąż mówiący po cichu, żeby ona nie słyszała, „*Mazury pozinny być całe waje, to wase ziemie, nase ojce i dziady kozie gadali wej po polsku*”. Ale najbardziej atrakcyjnym człowiekiem, Mazurem był dla mnie mieszkający po sąsiedzku ponad sześćdziesięcioletni gospodarz Adam Tubis głoszący, że „*najmundrzejszym narodem są Angelcy (Anglicy)*.” Dlaczego? — zapytałem. *Dlatego, że uni wsindzie wygrywają. Jak to, a pod Dunkierką w 1940 roku?* — zapytałem. „*Bo uni byli na cudzym terenie*” — odpowiedział z przekonaniem. Dalej zapoznałem otyłego, starszego piekarza Nowocienia oraz później w średnim wieku brodatego Helmuta Rataja. Dużo ciekawych rzeczy naopowiadał mnie i bratu pan Willi Danielczyk, magazynier zbożowy Gminnej Spółdzielni, w czasie II wojny światowej, żołnierz Wehrmachtu, kierowca ciężarowego samochodu cekaemista walczącej na Kaukazie mówiący, że „*Rosjan nie szło zwyciężyć, bo szła bez przerwy ludzka masa, której nie sposób zatrzymać ogniem pocisków, bo lufy nagrzewały się do czerwoności, woda gotowała się w chłodnicach cekaemów, pociski nie miały sił wyrzutu, padały obok lufy, a Ruski szli i szli z okrzykiem hurra.....hurra..... musieliśmy zwiewać*”. Każdy z mieszkańców Rozóg miał jakieś przeżycia wojenne, smutki, tragedie, które chętnie przy łada okazji opowiadali. Poza tym wszystkich tu mieszkających ludzi łączyła jakaś serdeczność, koleżeńskość, przyjaźń. Ludzie pomagali sobie wzajemnie, ciesząc się nawet z drobnych sukcesów, byleby tylko zapomnieć o wojnie.

Z dzisiejszego punktu widzenia wydaje mi się, że łączy nas wtedy jeszcze ogólna powojenna bieda. Kto już miał konia, krowę, sprzęt rolniczy, rower, uważano go za lepszego gospodarza. We wsi był nawet motocykl, który miał kierownik szkoły, jeżdżący na ryby do Pup (Spychowa) pan Władysław Helman, przedwojenny strażnik polsko-niemieckiej granicy w Dąbrowach.

Choć była bieda, ale w mieszkańcach Rozóg Kurpiów i Mazurów, „szlachty” makowskiej czy przasnyskiej siedziało jakieś wewnętrzne zadowolenie, szczęście, że przeżyli wojnę, mają własny kąt, kawałek ziemi, pracę.

To też od czasu do czasu szczególnie w okresie większych świąt organizowali sobie skromne przyjęcia, na których śpiewano pieśni, tańczono przy organce, czy patefonie, opowiadano śmieszne pieprzne kawały. Uczestniczyłem w jednym z nich, na którym był nawet prezes Gminnej Spółdzielni udający mądrzejszego od ucznia szkoły średniej czyli mnie. Wtedy siostra ze złością powiedziała mu: „prezesie macie gówno GS-ie”. Biesiadnicy roześmieli się, prezes się zajątrzył ale nic więcej nie mówił, tylko wychylał kielichy bimbrowa.

Inne rozrywki to zabawy taneczne, mniejsze potańcówki organizowane przez młodzież w domach prywatnych u pana Szydłowskiego, Murawsiego, większe organizowane przez straż pożarną tzw. biletówki w tym pomieszczeniu w którym się obecnie zajmujemy, obradujemy, w dawnym warsztacie ślusarskim, w którym po wojnie, później mieści się także kino. Obecnie przebudowane na Gminny Ośrodek Kultury w Rozogach.

Po ukończeniu Liceum Pedagogicznego, obowiązkowej rocznej pracy nauczycielskiej w miejscowości Brzózka gm. Łochów, odbyciu 2-letniej zasadniczej służby wojskowej w Skierniewicach oraz zaliczeniu I roku Studium Nauczycielskiego w Katowicach w 1957 roku wraz z rodzicami przenoszę się na stałe do Rozóg. Oto wstępny fragment z III tomu mojej powieści autobiograficznej pt. „Drogami Mazur i Kurpiowszczyzny”. Jadę na szerokiej, gumowej platformie, załadowanej różnymi sprzętami domowymi, gospodarczymi, nawet klatką z kurami. Fragment ten zatytułowałem: „Urok Rozóg”.

„Piękny, słoneczny poranek powitał nas Rozogach. Nad częścią tej miejscowości zwanej Morgami wznosiła się wspaniała, ognista, złocista kula, która swymi promieniami promieniami starała się przebić nadrzeczne mgły rzeki Rozogi — Szkwy i dalej aż do drogi po łące, po trawie srebrzyły się rosy. Wspaniały widok, nadzwyczajne zjawisko. To jest urok Rozóg, w którym się już wcześniej zauroczyłem, polubiłem, zakochałem. Ten widok gdzieś już widziałem?..... Gdzie?..... Daleko.....bardzo daleko.....do lat dziecińczych.....

Na małym wzgórku za zagrodą gospodarzy braci Kamińskich w Dąbrówce stoi mały chłopczyk, dziecko, pastuszek. Bose nożyny, chłodny, srebrzysta, poranna rosa podkurcza mu paluszki w dół. W dole pasą się jego krówki i owieczki, zaś w kierunku wsi Gąski nad i samą rzeką Szkwą unoszą się takie same, przepiękne zjawiska przyrody. Im wyżej wznosi się słońce tym piękniej przesuwają się majestatyczne krajobrazy. Coś niezapomnianego, coś nadziemskiego..... Dziś ten widok widzę tu. Myśl moja jak ten coraz powolniej toczący się kamień zatrzymała się w miejscu. Nic nie słyszałem..., nic nie widziałem..., leżący, siedzący kamień. Człowiek czy głaz? — ktoś by pomyślał... Z tego zadumania wyrwał mnie ostry stukot podkutych końskich kopyt o szyna kolejowe. Przez tę miejscowość, trochę

ukosem w poprzek drogi przechodził szlak kolei wąskotorowej łączącej Myszyńiec ze Spychowem, Kurpiowszczyznę z Mazurami i dalej z Warmią. Za przejazdem skończył się asfalt i zaczęła się droga kamienista czyli tzw. „kocie łby”. Na naszym załadowanym wozie gumowym zaczęło się w końcu platformy doleciał głos koguta ko ko ko... co jakby znaczyło co to za dziwna droga. Słabe dźwięki wozu i głośniejsze podkutych kopyt końskich odbijały się klaskaniem do okien domów, drzwi i budynków. Różne i tu są domy, murowane mają przewagę nad drewnianymi. Są bardziej okazałe, wyższe, z okienkami w szczytach. Za nim właśnie skręciliśmy w prawo, przez mały mostek. Moja mała, srebrzysta rzeczka Szkwa płynęła spokojnie po żółtawym dnie ginąc w welonie nadrzecznych mgieł.” Koniec fragmentu.

Za rok po ukończeniu Studium Nauczycielskiego rozpocząłem pracę nauczycielską w jednoklasowej szkole podstawowej w sąsiednich Zawojkach. W okresie jesienno-zimowym zorganizowałem kurs nauczania dla dorosłych w zakresie klas V — VIII, na który w większości uczęszczała młodzież mazurska. Jeżeli dotychczas, a zwłaszcza po wojnie nie chciała tego uczynić tak teraz masowo garnęła się do szkół, bo dowiedziała się z listów od krewnych w Niemczech, że tam tak samo honoruje się świadectwa ukończenia klas i polskich szkół. Wtedy po przyjeździe można łatwiej dostać lepszą, lżejszą pracę, wyższą płacę. Na Kurs Wieczorowy uczęszczali: Ginter Pędzich, Helmut Sobotka, Helmut Graboś, Ewald Warych, Trołta Blourok, Białuch i inni w tym Kurpiowie bracia Bałdygowie, Witkowska, Polakówna.

W okresie wiosennym za namową Rady Powiatowej Ludowych Zespołów Sportowych w Szczytnie i jej przewodniczącego pana Folgi, późniejszego milicjanta zorganizowałem Gminny Ludowy Zespół Sportowy w Rozogach, choć już przedtem młodzież grywała w piłkę siatkową przeważnie w soboty i niedzielę po południu. Prezentując jako taki poziom wyszkolenia wyjeżdżaliśmy rowerami na spotkania w tej dyscyplinie do Spychowa, Świętajna, Myszyńca (bardzo pięknie grał, ścinał Wysocki z Myszyńca). W naszej drużynie rewanżował mu się agronom Jan Gersz, Józek Kotowski i inni. Oni w ramach rewanżu przyjeżdżali do nas. Raz przyjechał z nimi mój kolega z Lipnik Marian Błogosiłowski. Żeby pograć dojeżdżał 15 km na treningi, do Myszyńca. Za kilka lat, a może i wcześniej przeniósł się do Rozóg i zasilił naszą siatkówkę. W zimie młodzież zbierała się w świetlicy Gminnej, którą prowadziła wspólnie z biblioteką Henryka Łukasiewicza. W świetlicy grało radio, czytaliśmy czasopisma, był zespół artystyczny, graliśmy w szachy i warcaby, a także w popularną zabawę „salonowca”. Nieraz po tej ostatniej trudno było usiąść na krześle, bo chłopaki siłę mieli.

Ale centralną placówką kulturalną w Rozogach była Szkoła Podstawowa. Tu oprócz nauki organizowano występy artystyczne dzieci, zabawy dochodowe dla dorosłych, spotkania autorskie, zebrania młodzieżowe, sportowe, partyjne, zebrania nauczycielskie, konferencje. Były także kursy wieczorowe dla dorosłych w

zakresie klas V — VII. Była także Szkoła Przysposobienia Rolniczego przeniesiona z Wilanowa, założona tam przez nauczyciela Stanisława Trzcńskiego.

Tym wszystkim kierowała i zarządzała pani magister Irena Helman, żona przedwcześnie zmarłego męża kierownika. Była to bardzo energiczna i sumienna nauczycielka. Przed wojną ukończyła Uniwersytet Warszawski. Za postępowe przekonania nie mogła znaleźć pracy. Po dłuższych poszukiwaniach znalazła ją wreszcie na Kurpiach w szkole powszechnej w Lipnikach, a potem w Starym Myszyńcu. Tu zastała ją okupacja hitlerowska, tu prowadziła tajne nauczanie. Po wojnie przeprowadziła się do Rozóg i tu organizowała wraz z mężem oświatę dla dzieci i dorosłych. Tu odbudowywała zniszczoną szkołę. Odznaczała się wysoką kulturą osobistą, organizatorką, a przede wszystkim wysoką wiedzą w każdej dziedzinie. Kto z mieszkańców Rozóg i okolic miał jakieś problemy życiowe szedł do niej i uzyskiwał poradę, pocieszenie i pomoc, nawet finansową. Nic też dziwnego, że cieszyła się wielkim uznaniem, poważaniem, szacunkiem, autorytetem. Ludzie w tym i Mazur nazywali ją po cichu „*nasa Helmanka*”. Uczestniczyła we władzach Gminy, powiatu i województwa olsztyńskiego. Miała wiele propozycji kierowniczych w powiecie i województwie. Odmawiała, pozostała wierna wsi kurpiowskiej i mazurskiej. Spoczywa na Śląsku, w Świętochłowicach. Zasluguje na przeniesienie jej prochów do Rozóg, gdzie by spoczęła obok samotnie leżącej Heleny lub męża Władysława w Klonie. Zasluguje na opracowanie książkowe, choćby w tytule: „*Magister Pogranicza*”. Myślę, że to uczynią jej koledzy nauczyciele i dziesiątki, a może setki jej absolwentów.

Właśnie to Ona nauczyła mnie Mistrzostwa mojego zawodu nauczycielskiego, a może i pisarskiego, kiedy po trzech latach pracy przeniosłem się jako żonaty mężczyzna do Rozóg. Tu już pracowała moja żona Genowefa z domu Stolarczyk. Pani kierownik mówiła: jeśli nie ma wiersza na dany temat to usiądź i napisz go. Jeśli brak ci ilustracji, narysuj ją, brak innej pomocy wykonaj ją, itd. Nauczyciel na lekcji nie potrzebuje dużo mówić, nauczyciel musi szanować gardło, nauczyciel pisze temat, stawia pytania, problem. Nauczyciel kieruje procesem nauczania, uczniowie sami mówią patrząc na pomoce naukowe, własne doświadczenie, zdobyte wcześniej wiadomości. Nauczyciel poprawia wypowiedzi, prostuje, uzupełnia, wnioskuje, uczeń zapisuje na tablicy, przepisywanie do zeszytów. Na owe czasy było to nowoczesne nauczanie. Nic też dziwnego uczennice i uczniowie zdawali bez większych kłopotów do szkół średnich i zawodowych. Pod takim kierownictwem i takimi sukcesami dobrze im się pracowało i byłem zadowolony. W Dniu Nauczyciela otrzymywałem podziękowania i nagrody pieniężne.

Bardzo często odwiedzał szkołę ksiądz proboszcz Pętlicki z Klonu prowadzący lekcje niedalekim punkcie katechetycznym, zawsze pełen energii, humoru i satyry. To właśnie jego staraniem i wielkim zaangażowaniem i poświęceniem odkupiono od ewangelików kościół, założono parafię, przeniesiono punkt kate-

chetyczny do zabudowań kościelnych. Żyło się nam zgodnie i dzięki Bogu szczęśliwie.

Dużą prężność rozwojową wykazywała Gminna Spółdzielnia szczególnie za czasów prezesowania pana Kazimierza Rekosza i jego następcy inż. Edwarda Ciemiewicza. Po wsiach powstawały sklepy niczym przysłowiowe „grzyby po deszczu”. W samych zaś Rozogach wybudowano nowy sklep spożywczy, potem warzywny, restaurację, pawilony, sklep spożywczy „Sam”. Dużo wyremontowano budynków na pomieszczenia biurowe, zbudowano magazyny, punkt skupu, rozlewnię oleju, spółdzielnię usługową i inne. Te zmiany zachodzące w Rozogach w jakiś pośredni sposób musiały oddziaływać i na moją psychikę. Co by tu zrobić dla dobra szkoły, dzieci, młodzieży? Co by tu zbudować coś konkretnego, wizualnego? — często myślałem. Co jest w mojej mocy wykonawczej??? A no boisko, aż się prosi o wyrównanie po rowie przeciwpancernym, postawienia bramek do piłki ręcznej, siatkowej, koszykowej. Przygotować bieżnię, rzutnie, skocznie, mini tor przeszkód. Ten ostatni znałem z wojska i widziałem jakie kłopoty mieli kole-dzy w jego pokonywaniu, męczyli się do ostatnich potów a nawet do łez.

W szkole przybywało sprzętu, trzeba było gdzieś to ulokować. Uczniowie klasy VII-ej przywieźli żerdzie, rodzic Napiórkowski pojechał ze mną do tartaku w Spychowie, dostaliśmy furę desek za darmo, „dla dobra szkoły”, tak się wtedy mówiło. Tak powstał magazynek sportowy spełniający swoją czynność do dziś. W zimie zakupiliśmy narty i łyżwy, Straż Pożarna wylała wodę na lodowisko. Wyjazd na zawody łyżwiarskie do Szczytna, zajęliśmy dobre miejsca, nagrody.

Czas pomyśleć i o sobie. Za zaoszczędzone pieniądze kupiliśmy samochód, Syrenę, którą razem z żoną i dziećmi Grażynką i Januszkiem jeździliśmy w strony rodzinne ich mamy. Za dwa lata sprzedałem samochód, pobrałem pożyczkę i postawiłem dom. Taki sam po sąsiedzku postawił mój brat, nauczyciel szkoły podstawowej w Wilanowie. Przedtem, przed nami pierwszy nowy budynek murowany postawił rzemieślnik Jerzy Prusik, potem sekretarz Urzędu Gminy pan Nowak. Od tego momentu lat siedemdziesiątych datuje się szybki rozwój budownictwa mieszkalnego trwającego nieprzerwanie do dziś. Tam gdzie kiedyś zjeżdżaliśmy na saneczkach z górki, pojawiły się nowe, białe, murowane domy z cegły szczytnowskiej a potem pasymskiej.

Nad tym wszystkim, nad całością naszej pracy czuwała Gminna Rada Narodowa z jej przewodniczącym panem Janem Śliwińskim oraz Gminny Komitet Partii Robotniczej i Ludowej z często zmieniającymi się sekretarzami i prezesami. One to właśnie uwzględniając potrzeby wsi zgłaszane na zebraniach wiejskich starały się w miarę możliwości realizować. Ludność starała się pomóc, wspierać czynami społecznymi. Coś w tych Rozogach ciągle się działo, budowało, ruszało, trwało żywy entuzjazm pracy. Indywidualni rolnicy, rolnicy spółdzielcy, zakłady pracy prześcigały się w realizacji swoich programów, żeby się pokazać, że oni też potrafią, że nie są gorsi, że oni to zrobili. Szczególnie to się uwidaczniało w cza-

się obchodów różnych świąt, a szczególnie dożynek. Zasłużeni ludzie, rolnicy, otrzymywali nagrody, wyróżnienia, pochwały, podziękowania. Dla nich to i dla innych śpiewał i tańczył ludowy zespół kurpiowski „Rozocconki” z Rozalią i Weroniką Mrówką na czele, a także w późniejszym czasie Dziecięcy Zespół „Groszki” działający przy Gminnym Ośrodku Kultury. Prawie na każdej uroczystości występował Kurpiowski Zespół „Dąbrozionki” z Dąbrów z ludową artystką i poetką w roli głównej, laureatką licznych nagród w tym „Złotej Baszty” zdobytej na Ogólnopolskim Przeglądzie Zespołów Folklorystycznych w Kazimierzu nad Wisłą, panią Walerią Markwas-Żarnoch. Zawsze przygrywała im ludowa kapela „Stasiulki” w składzie: Stanisław Skonieny — pedałowka, Zyśk — skrzypce, Lis — bębnek.

Na jednej z takich uroczystości pani Waleria zaśpiewała przewodniczącemu Gminnej Rady Narodowej: *„A nas Jasiu w białej capce pokochałby i na ławce, a jak by mu ławce wzieni pokochałby i na ziemi”*. Cha cha cha śmiała się publiczność, a przewodniczący dobitnie się uśmiechał.

W czasie większych uroczystości takich jak Tysiąclecie Państwa Polskiego, Konkurs Gromad, Dożynki Wojewódzkie występowały zaproszone większe zespoły np. „Wesoły autobus” pod dyr. pana Kazimierczaka z Łodzi, Murarski Zespół „Olsztyn”, Kurpiowski Zespół „Ostrołęka”, Zespół „Brok”, „Kurpie Leśne” z Wykrotu, z Zawad, Czarni.

Po części oficjalnej i artystycznej odbywały się liczne imprezy sportowe, wystawy, kiermasze i zabawa ludowa „do białego rana”. Wesoło było, chciało się żyć i pracować.

Nad tym wszystkim, nad naszym zdrowiem czuwał i czuwa nadal niezmordowany pan doktor Jan Gontarz, były przewodniczący Gminnej Rady Narodowej w Rozogach.

Wspomniana znacznie wyżej Szkoła Przysposobienia Rolniczego, którą też kierowałem pod koniec lat sześćdziesiątych, ze względu na słaby nabór przestała istnieć. Powołano ją z powrotem do życia w latach siedemdziesiątych jako Zasadnicza Szkoła Rolnicza, kierowana przez nauczycielkę, dyrektor Marię Zych, późniejszą dyrektor Szkoły Podstawowej, inicjatorkę rozbudowy szkoły, spieranej przez Gminnego Inspektora Szkół mgr Tadeusza Dąbrowskiego. Powołano także średnie Studium Zawodowe kierowane kierownika Gminnej Służby Rolnej inż. mgr Henryka Samborskiego. Pomagał mu w tym wiceprezes Spółdzielni Kółek Rolniczych inż. Zbigniew Nowak. Spółdzielnia jego powstała na bazie nowo wybudowanego Państwowego Ośrodka Maszynowego, którym przedtem kierował pan Stanisław Stępień, a obecnie inż. Adam Błoński. Spółdzielnia Kółek Rolniczych gospodarzyła na dużej ilości hektarów ziemi uprawnej oddanej dobrowolnie Państwu przez indywidualnych, prywatnych rolników w zamian za emeryturę lub rentę. Dla jej to potrzeb w latach siedemdziesiątych wybudowano nowoczesną fermę hodowlaną we wsi Występ. Uczennice i uczniowie Szkoły Rolniczej odby-

wali tu praktykę, która w owym czasie przeszła pod dozór administracyjny Kuratorium Oświaty i Wychowania oraz pod Gminnego Dyrektora Szkół. otrzymałem propozycję zostania dyrektorem obydwu szkół rolniczych, którą przyjąłem. Największą bolączką tych szkół była ciasnota w szkole, bo mieściły się one w szkole Podstawowej oraz popołudniowe zajęcia lekcyjne. Mówię tu o ZSR. Nie raz bolałem nad tym, że ja mam blisko do pracy, a moje uczennice i uczniowie w deszczu i zimnie, mrozie, zawiei, zamieci śnieżnej w ciemnościach zdążają na piechotę do odległych wsi. Była to młodzież biedna, nie mająca nawet roweru. Jak im pomóc? — zastanawiałem się nie raz. Wreszcie nadarzyła się okazja, miejscowa rolniczka sprzedawała gospodarstwo rolne, a w nim duży dom mieszkalny, ale niski. Były z tym problemy przy adaptacji na szkołę. Urząd Wojewódzki Wydział Rolnictwa w Ostrołęce, pan dyrektor inż. Dudziec przekazał do Gminy w Rozogach pieniądze na jego zakup. Kupiliśmy notarialnie. Rozpoczęła się żmudna i wyteżona praca przy jego adaptacji i rozbudowie. Stałem na czele jego budowy jako kierownik, zaopatrzeniowiec, magazynier, robotnik. Cała moja nadzieja i otucha tkwiła we wspaniałej młodzieży szkolnej pełnej zapału, energii, zaangażowania i poświęcenia. Codziennie przychodzili do pomocy, do pracy. Stary budynek remontował majster Leon Osowski z Myszyńca, a nowy budynek gospodarczy stawiał pan Heronim Stencel z Dąbrówki. Moi uczniowie i słuchacze przywozili góry żwiru i piachu, stopy desek i belek, której dłużycę darowało nam Leśnictwo Faryny. Przecierał je nieodpłatnie mój kolega, kierownik miejscowego tartaku, Marian Błogosławski. Muszę tu wymienić choć jednego słuchacza, choć zasłużyli wszyscy. Jest nim Jerzy Kulas z Klonu. Jeszcze dziś go widzę wiozącego swoim ciągnikiem żwir, dłużycę tartaczną, belki, deski oraz układającego podłogę z płyt, przybijającego listwy wokół ścian. Moim uczennicom i uczniom Zasadniczej Szkoły Rolniczej, słuchaczkom i słuchaczom średniego Studium Zawodowego w Rozogach w 350 rocznicę powstania Rozóg jeszcze raz serdecznie dziękuję i pozdrawiam, życząc Wam zdrowia, ich dzieciom i pociechy z wnuczęt.

W trakcie nauki i pracy wspólnie z Radą Pedagogiczną zorganizowaliśmy Szkolny Ludowy Zespół Artystyczny pod nazwą „Złote Kłosa” oraz Młodzieżowy Zespół Kwis — Muks — Bens. Opiekunami z ramienia Rady zostali kol. inż. Elżbieta Bądzek oraz inż. mgr kol. Henryk Ojdowski.

Występowaliśmy na wszystkich uroczystościach w Rozogach i poza jego granicami w Wilanowie, Świątajnie, Pełtach za Myszyńcem oraz w dalekim Brańszczyku, a także w późniejszym czasie w Kościele naszym z okazji 70-tej rocznicy Niepodległości Polski. Dla występowania Zespołu potrzebne były nowe teksty, wiersze, scenariusze, melodie, stroje. Tych ostatnich używała nam i pomagała dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury pani Katarzyna Błońska, wielce zaangażowana w te sprawy. Stroje męskie, kurpiowskie przywoził własnym samochodem od posła Stanisława Ceberka z Wykrotu, ksiądz proboszcz Bolesław

Pętlicki, entuzjasta popierania folkloru ludowego, zwyczajów i obyczajów kurpiowszczyzny. Ja zaś nowe teksty pisałem sam, musiałem to robić, tego wymagała sytuacja, było po prostu ich brak. Występując ze swoimi uczennicami, słuchaczami na scenie zauważyłem, że moje teksty zebranej publiczności się podobają, biją brawo, klaskają. Tak zrodziła się moja pasja pisarska, choć już wcześniej pisałem wierszyki, wiersze, wierszydła, humory, satyry.

Przy szkole istniał także Szkolny Ludowy Zespół Sportowy, korzystający z szatni wybudowanej wspólnie z Urzędem Gminy, Gminnym Ludowym zespołem Sportowym. Na gminnym stadionie sportowym mieszczącym się obok szkoły Podstawowej odbywały się liczne zajęcia sportowe, najwięcej w piłce nożnej.

No cóż, tak jak w każdej najbardziej idealnie zbudowanej maszynie powoli zużywają się jej części. Zużywały się i moje, zaczęło szwankować mi zdrowie. Z własnego doświadczenia wiem, że szkoła wymaga zdrowych, odważnych i prawych ludzi. Dla słabeuszy i mięczaków nie ma tam miejsca. Uczniowie od razu to wyczują i zlekceważą go. Po 33 latach pracy nauczycielskiej w wieku 54 lat odszedłem na emeryturę, przekazując szkołę w godne ręce nauczycielowi z Dąbrów, mojemu koledze mgr Władysławowi Grzybowi.

Mając dużo wolnego czasu zebrałem te wszystkie wiersze napisane w szkole, opracowałem nowe i dałem im tytuł „Jesienne olekanie”. Jesienne, bo późno zacząłem pisać w jesieni życia, a „olekanie” to taka nazwa kurpiowska znaczy śpiewać, zawodzić, przeciągać. Dwa z tych wierszy stało się moim debiutem literackim w Tygodniku Ostrołęckim na początku 1989 roku. Krytykiem literackim był przedwcześnie zmarły poeta ostrołęcki, kurpiowski Dionizy Maliszewski, człowiek mądrości, dobroci, prawego charakteru. W trakcie rozmowy z nim powiedział mi, żeby te moje myśli zawarte w wierszach poszerzyć, napisać prozą. Za rok zjawilem się u niego z obszernie napisaną książką pt. „Drogami Kurpiowszczyzny”. Przeczytał i w następnej rozmowie powiedział, że jest dobra, nadaje się do druku. Dał mi adres redakcji, pojechałem. Kryzys gospodarczy w latach osiemdziesiątych nie pozwolił mi jej wydać. Nie zniechęcony napisałem dalsze wspomnienia z pobytu w szkole średniej, wojsku, Studium Nauczycielskim. Wszędzie spotykałem bardzo ciekawych ludzi, atrakcyjnych, ich zalety, rzadziej wady. Napisałem jeszcze obszerniejszy II tom „Drogami Kurpiowszczyzny” o wsi kościelnej w Lipnikach. Poprzedni I tom był o mojej rodzinnej wsi Dąbrówce koło Ostrołęki. Obecnie jestem w trakcie pisania III tomu pt. „Drogami Mazur i Kurpiowszczyzny”. Mieszkając i pracując w Rozogach po sąsiedzku z kurpiowszczyzną często tam jeżdżę, odwiedzam. Nasilenie tych wyjazdów nastąpiło po roku 1975 kiedy to Rozogi przeszły w skład województwa ostrołęckiego. Przedtem należeliśmy do woj. olsztyńskiego.

Reasumując to wszystko można by powiedzieć, że jest to ogrom pracy. Ale czyż Ziemia kurpiowska czy mazurska tak piękna i wspaniała nie warta tego? Twierdzą, że warta, bardzo warta i wymaga jeszcze większego wysiłku. Bo za

Ziemie Warmińsko-Mazurską, za polski język, kulturę i oświatę ludzie cierpieli, oddawali życie np. nauczyciel Jerzy Lanc z Piastuna, oddawali życie nawet pod królewską gilotyną. Za to wszystko co dla niej uczyniłem, zrobiłem, otrzymałem wiele odznaczeń bardzo modnych na owe czasy, w tym Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski uprawniający do niewielkich świadczeń materialnych. Niestety nowe władze III-ej Rzeczypospolitej zniosły je przyznając bardziej młodym, bardziej zasłużonym, szykanowanym.

Chciałem powiedzieć, że moje dzieciństwo przypadło na czas okupacji niemieckiej, ciągle drżałem o losy ojca organisty, 3-krotnie wzywano na wywóz do Niemiec, strachem przed żandarmami i gestapo, łapankami i aresztowaniami, wywozem do pracy przymusowej w Prusach i obozów koncentracyjnych. Całe zimy przesiadywałem na stole przy oknie, bo nie miałem butów i odmrożone palce u nóg. Jadłem olej z cebulą, strasznie gorzki i mdły, lepszy był przesmażany. W czasie ucieczki od frontu na Narwi sypiałem na gołej ziemi, głodowałem. Wróciłem z rodzicami na zgłiszcza rodzinnej wsi Dąbrówki, z której tylko pozostały : szkoła, kościół, plebania, organistówka bez sufitu i dom sklepikarza Bałdyki. Z braku ziemniaków jadłem czubki gotowanej komosy. Zachorowałem prawie śmiertelnie na zapalenie płuc. W szkole średnie zamknięte drzwi internatu, na stacji brak chleba. Zamknięty dostęp na wyższe studia, nie otrzymaniem stopnia oficerskiego w wojsku, brak awansu w pracy nauczycielskiej, bo nie należałem do żadnej partii politycznej, a zostałem dyrektorem tylko dlatego, bo nie było chętnego na to stanowisko i to z adnotacją tylko na jeden rok. Czy to wszystko można nazwać przyjemnością? Na pewno nie. To można z całym przekonaniem nazwać utrudnianiem życia człowiekowi, prześladowaniem. Wobec tego powstaje pytanie dlaczego tak łatwo przekreśla się zasługi bliźniego? Dlatego, że przynajmniej się je innym, nawet dokładnie nie sprawdzwszy czy na nie zasługują.

Ale wtedy kiedy byłem młody nie wiele mnie to interesowało. Interesowała mnie tylko praca dla Polski, obojętnie czy była ona kiedyś we wspólnocie pierwotnej (podobnie nie była), czy w feudalizmie, kapitalizmie czy socjalizmie. Nie interesowało mnie to czy ktoś jest członkiem partii czy nie. Czy chodzi do kościoła czy nie, choć sam jestem wierzącym i praktykującym katolikiem. Nie interesowało mnie czy ktoś jest protestantem, ewangelikiem, świadkiem Jehowy czy baptystą. Mnie interesowało tylko to czy jest człowiekiem, czy ma sumienie, czy myśli o pomocy dla innych bliźnich. Nie można nigdy wtłaczać człowiekowi na siłę obcych ideologii czy wierzeń, bo wtedy przynoszą one skutek odwrotny. Tylko mówienie, wyjaśnianie, przekonywanie, dyskusja, osobisty przykład oto sposoby wróżące sukces. Nikt nie uwierzy człowiekowi głoszącemu ubóstwo, a samemu opływającemu w dostatki.

Najwięcej interesowało mnie godło Polski i flaga narodowa. To była, jest i będzie moja legitymacja. Jakże skromna, bez kosztownej oprawy. Była nią i jest czwarta część kartki zeszytu szkolnego z jednej strony godło Polski, a z drugiej

biało-czerwona flaga, falująca i trzepocząca na wietrze, w promieniach mazurskiego słońca, nad dachami domów mazurskich i tych starych i tych nowych, a także w rytm mojego wiersza:

Moje Rozogi

*Gdy idę w Rozogach Warszawską ulicą
czuję się jak młody warszawiak
twarz roześmiana, bluza rozpięta
i śmieją się śmieją chłopcy, dziewczęta.*

*Potem przechodzę w ulicę Styczniową
jest ona szeroka, wspaniała
mnóstwo placyków, skwerków, zieleni
i ludzie są jacyś ciągle olśnieni.*

*Więc skręcam w prawo idąc trotuarem
jest dom kultury, poczta, bank
dalej jest GS-u mienie
za moje Rozogi z nikim się nie zamienię.*

*To jest miejsce młodości mojej
tysiące razy tu przechodziłem
tu pozostanę chyba na zawsze
bo jest ono dla mnie najlaskawsze.*

*Dochodząc do ulicy Majowej
skręcam do przedszkola
tutaj przecież rosną nasze kwiaty
rosły i moje, ale już przed laty.*

*Teraz idę w uliczkę rolników
dzisiaj zwożą złociste snopy
twarze opalone, ręce spracowane
to dla was to czynią Rozogi kochane.*

*Z prawej dumny gotyk chce dotknąć
swą wieżą niebios wszechpotężnych
i błagać przebaczenia dla nas wszystkich
dni teraźniejszych i przyszłych.*

Szanowni państwo, zdaję sobie sprawę, że nie opisałem tu wszystkiego, że kogoś pominąłem, zapomniałem. Nie sposób to uczynić w tak krótkim czasie. Wypada mi tylko przeprosić tych, co uważają, że zrobiłem to celowo. Nie. Będę się starał ich postacie i zasługi w III tomie mojej powieści „Drogami Mazur i Kurpiowszczyzny”.

